

PROMIEN



MIESIĘCZNIK



MŁODZIEŻY



GIMNAZJALNEJ



GRUDZIEŃ

Nr. 3. 1937 r.

ROK XIII.

I tyle tęcz zapalisz na swym niebie,
Ileś za młodu życia wchłonał w siebie.

P R O M I E Ń

Miesięcznik Młodzieży Gimnazjum Im. Marsz. Polski
Józefa Piłsudskiego w Ostrowie Wlkp.

Kierownik Wydawnictwa — Redaktor odpowiedzialny — Redaktor Naczelny
Ożegowski P. Prof. dr. J. Jachimek Pałys Feliks

Z okazji zbliżających się IMIENIN
składamy w imieniu zakładu

p. dyr. Adamowi Czechowskiemu
najszczerze i najserdeczniejsze życzenia

REDAKCJA.

Chrystus się nam narodził...

Po dość długim Adwencie, w czasie którego przygotowaliśmy się wszyscy na przyjście Zbawiciela, zbliża się święto, które radością niewysłowioną napawać będzie nasze serca, pokazując nam, że Ten, który w cichej stajence w żłóbku, się narodził, jest Królem królów, jest Panem nieba i ziemi, że przyszedł, by uwolnić, świat od kajdan grzechów, by rozproszyć ciemności wszelkiego zła i zepsucia.

I my, młodzi, radujemy się, oczekując na tak uroczystą chwilę. Chcąc, by ta nasza radość i Wam się udzieliła, łamiemy się z Wami opłatkiem, życząc równocześnie p. Dyrektorowi, czcigodnemu Gronu Profesorskiemu, Koleżankom i Kolegom: Wesołych Świąt.

Pokój ludziom dobrej woli

Redaktor Naczelny

Współpraca z
Współpraca z
Współpraca z

Koledzy!

„PROMIEN” grudniowy jest ostatnim numerem, który my jeszcze wydajemy. Nad styczniowym pisemkiem nowy będzie mozolił się redaktor i nowy kierownik.

Trudno, choć trochę żal, to jednak trzeba opuścić to stanowisko, które więcej kłopotów, aniżeli radości i zadowolenia mi przyniosło. Bo, czyż można być zadowolonym, kiedy wszyscy umieją tylko krytykować, a żaden z nich nie potrafi wysilić się, by napisać, chociaż małe artykuły? Dosłownie, żaden z tych „sławnych” krytyków nie napisał żadnego artykułu.

Skutek zaś tej krytyki był taki, że coraz mniej napływało do Redakcji artykułów a co za tym idzie, nie można było w terminie wydawać „Promienia”. Ci koledzy, którzy z początku starali się pisać, wskutek stałego ich krytykowania, przestali pisać. Z trudem więc mogliśmy wydać tylko 7-dem numerów, których wartość, to jest wygląd zewnętrzny i treść, już wszyscy oceniali. I chociaż niektóre numery nie stały może, na takim poziomie, na jakim winny się znajdować, to już nie moja, ani Kierownika wina, ale Was samych Koledzy! Tak — wyście są winni! Wy bijcie się w piersi, wołając: „mea culpa”. Bo, gdybyście wszyscy pisali, to można by wydać cacko. Trudno zaś, mając trzydzieści artykułów przeciętnej wartości, wydać arcydzieło. To sami już musicie przyznać!

Czy co robiłem, czy starałem się — to już sami osądzicie. Na liczne zarzuty, które mi niektórzy koledzy stawiali, z powodu wielu błędów, które znaleźli w poprzednim numerze — odpowiem na swe usprawiedliwienie to, że prócz korekty, którą robił zawsze Redaktor Odpowiedzialny, my jeszcze t. zn. Kierownik Wydawnictwa, Kolporter i ja robiliśmy po dwa razy poprawki. A, że mimo to były błędy, to już wina jedynie drukarza, który nie poprawiał tych błędów, które myśmy poprawili. Wszyscy zaś musicie przyznać, że „Promień” był zawsze urozmaicony jakiemiś nowościami np.: karykaturami. I tu trzeba stwierdzić pewien postęp. Zasługę zaś za to, odnosi przede wszystkim Kierownik Wydawnictwa no i kolega, który bezinteresownie robił nam te „cacka”.

Przyszłemu swojemu następcy życzę z całego serca, żeby mógł wydać „Promień” zawsze co miesiąc, żeby miał wielu współpracowników, a najmniej krytyków, bo wtedy tylko będzie mógł wyjść pełnowartościowy numer, który

z pewnością każdego zadowolili. Pragnąłbym też, żeby nie zapomniali o karykaturach, bo one budzą wiele zainteresowania wśród wszystkich czytelników.

Wszystkim zaś tym kolegom, którzy od początku mej kadencji wytrwale pisali, którzy często przychodzili do mnie z życzliwą radą, dzięki której potrafiłem wybrnąć z niejednej kłopotliwej sytuacji, serdecznie z całego serca dziękuję.

Redaktor Naczelny.

„Niespodzianka.”

Zasadniczy błąd popełniają ci, którzy „Niespodziankę” K. Huberta Rostworowskiego uważają za dzieło przedstawiające dolę tylko i tragedię chłopca polskiego. Nie jest „Niespodzianka” utworem ani dzielnicowym, ani klasowym, ani, broń Boże, narodowym!

Życie chłopca, realizm tegoż życia, tak jędrnie i istotnie uchwycony w tej sztuce nie jest alfą i omegą tej tragedii. Gdyby bowiem tak było, byłaby ona zwykłym, choć arcydzielowym odtworzeniem tego, co już wielu innych wspaniale otworzyło! Rostworowski wstąpił głębiej. Izba wiejska, puste garnki, krowa wychudła, fiasza wódki, papierosy, siekiera, to rekwizyty. Akcja o potężnym, arcymadrze stopniowanym natężeniu dramatycznym, obojętność ojca, hardość matki, żydowskie cechy Abramka — to tylko szkielet sztuki...

Zasadniczym motywem i wartością, która stawia tragedię Szywałów na gruncie wszechludzkiej a „Niespodziankę” samą w rzędzie sztuk światowych, czyli zrozumiałych przez wszystkich ludzi, jest tajemnica głębi duszy ludzkiej.

Dzieło, tego najlepszego obecnie w Polsce dramaturga, to wsłuchiwanie się w tajemną głąb chłopskiej psychiki, to przykładanie brabiowskiego ucha do muskularnej a kosmatej piersi chłopca i podchwytywanie podświadomych drgnięć jaźni wiejskiego człowieka.

Dlatego, podkreślam; „Niespodzianka” ma wartość **wszechludzką**. („Dziady” — „Kordian” tylko patriotyczną, narodową.)

„Niespodzianka” to dzieło naturalistyczne, aż nagie w swej prawdzie, sztuka w której nic z życia nie kryje się

pod płaszczem ideału, piękna, dobra, etyki, czy estetyki. W układzie jest ona przerażająco prosta, w zrozumieniu bardzo trudna.

Początek prosty, niewinny, codzienny. Scena z Frankiem, to pierwsze krótkie spięcia tragedii; koniec pierwszego aktu zwykły. Drugi akt ciekawi coraz silniej śpiącym podróżnym, przybija drewnianą oschłością Ojca i drażni walizą. Wreszcie stopniowo Matka dojrzewa do zbrodni... II. akt urywa się w punkcie kulminacyjnym tragedii. Trzeciego aktu połowa, to odprężenie w postaci karczm, parobczaków i znak zapytania w Żydzie Abramku; druga połowa, to tragiczne maskowanie się Ojca i straszny jego wybuch w chwili, w której odgadł prawdę... Przerwa przed ostatnim aktem, to sz Straszny bieg Ojca ku swej chacie... Czy zdąży? Czy już?! Aż czwarty akt rozwija ponuro złudzenia i trwa w tym ponuro-rozpaczliwym tonie aż do momentu szaleństwa Matki, aż do wpadnięcia ludzi wiejskich, których przyciszona modlitwa przy wtórze mroku i dzwonów na Anioł Pański wprawia w przerażająco spokojny nastrój, który przerwie Ojciec straszliwym wyznaniem winy.

Kompozycja doskonała.

Język jędrny, dźwięczny, wzięty z życia. „Powiedzonka“ z „Niespodzianki“ dadzą się wszędzie zastosować i w życiu codziennym. Język i styl dorównują kroku akcji i tworzą pyszną harmonię.

Ojciec, mimo, że jest pijakiem, złodziejem, pośrednikiem czynnym i świadomym zbrodni, mimo tego, iż przeraża, jest wysoko tragicznym i budzącym jeśli nie pewną sympatię, to litość.

Podobnie jest i z matką, która zabiła tylko dla Franka, aby ten mógł studia skończyć, która kradła, aby mu dać jeść, która „pasła go dla nauczycielowej córki.“ która po prostu go kochała miłością macierzyńską. Uczucie w niej przerosło rozum-prawo. Stąd Matka jest usprawiedliwiona.

Franek, typ każdego nędzarza-studenta, zaparł się wsi i wyrósł z domowego kręgu myślenia, rzuca, zmuszony koniecznością uniwersytet, wpada w konflikt z rodzicami, opuszcza dom, idzie szukać roboty, by pracować rękoma... Co z nim się stanie?

Kwestia nierozwiązana — a paląca... Czyż motyw kwestii studentów — chłopskich synów...?

Abramek — Żyd. Precz z Żydami! Bij Żyda!! Nie! — Abramek to typ o cechach rasowych, ale Żyd szlachetny i tragiczny. Dla podkreślenia jego tragizmu, każe mu Ro-

stworowski kończyć sztukę, podczas, gdy efektowniej wypadłoby, gdyby tuż przed nim skończył swym strasznym rykiem Ojciec.

Jest więc „Niespodzianka” sztuką niezwykłą, ogromnie trudną dla artystów, jest sztuką zrozumiałą tylko dla elity umysłowej.

Niesłusznym jest zarzut, że przygnębia. Pokazanie prawdy przygnębia? Tedy, ażeby podciągnąć ducha w człowieku trzeba mu koniecznie dawać, jako strawę duchową, sztuki o optymistycznych zakończeniach, z ideałami pięknymi i dobrymi, jak pomarańcze z hurra-patriotycznymi naprzykład fanfarami.

„Niespodzianka” demaskuje podświadomość człowieka. „Niespodzianka” zaskakuje nagle dzisiejszego inteligenta od strony, z której jest nieprzygotowany na atak, „Niespodzianka” jednak wkracza do duszy po linii największego oporu, przeto do niewielu dusz dotrze, ale gdzie dotrze, tam zostanie na zawsze.

Szczublewski Józef

Po „Niespodziance”

Nie odrazu powstał projekt Niespodzianki. Losy ważyły się pomiędzy „Lillą Wenedą” a „Niespodzianką”. Przeważała ta ostatnia i zawrzały przygotowania. Zrobił się szum, gwar. Nastąpiły oderwane wspomnienia z prób, tajemnicze porozumienia na lekcjach, co wytwarzało nastrój oczekiwania. Zanosilo się na wielką sprawę, nieśmiało tylko odzywano się tu i tam, o górze co to myszkę zrodziła. Ale to strzały z za plotu. Praca szła szybko naprzód. Organizator stale czynny, stale zajęty rzeczami ważnymi — obsadą, grą, sceną, ubiorami, ale i szczegółami — wiadomo, oko pańskie... I tylko przy tym stanie rzeczy możliwe było odegranie. Inaczej, — wiadomo, kto się na kogo spuści... To wszystko wywołało duże zainteresowanie. Ale też przedsięwzięcie wielkie i niełatwe. Powodem tego i przyrodzona trudność „Niespodzianki”, brak pewnej obsady, środki finansowe nader skromne, brak dekoracji i strojów, a wszystko jakoś zjawilo się, niczego nie brakło. Praca też wydała wspaniałe owoce. Odegranie sztuki było pierwszorzędne.

Ale jeszcze wrażenia przedwstępne. W przeddzień dobiegły nas głuche wieści o sukcesie w Skalmierzycach, A więc nie podobno nie iść. Pierwsze wrażenia dość nie-

szczególnie. Sala niezbyt przepelniona! Jakoś Ostrów nie zupełnie dojrzał. Ale już to mniejsze. O co innego chodzi, o salę mianowicie. Niestety, i przy największej fantazji trudno ją nazwać świątynią Melpomeny. Malowidła i „dekoracje” sali są ordynarne — zupełny brak estetyki. Niepozorny piec tuli się z zimna do sciany. Oczekiwanie trzeba wypełnić podziwianiem kurtyny — „arcydzieła” sztuki malarzkiej. Warunki akustyczne pod psēm. Najładniejsze utwory wychodzą twardo, poodbijane od pustych ścian tony pchają się w uszy bezwzględnie, brutalnie. I jeszcze pewne zastrzeżenia są co do charakteryzacji aktorów: „Matka” ma na czole jakby plugiem przeorane bruzdy, niebieski ołówek widać, aż z balkonu.

Ale dość już tej jeremiady. Sztuka naprawdę nadspodziewanie udała się. Ci artyści, którzy dali te wspaniałe kreacje, to tylko amatorzy, którzy najwyżej dwa lub trzy występy (prócz „Matki”) mają za sobą. A przecież dali złudzenie „prawdziwego” teatru z „prawdziwymi” artystami. Największe uznanie należy się chyba „ojcu”. Zagrał wspaniale, z wielkim wczuciem się w rolę, był piękny w swym tragiźmie. Matka dała nowy przyczynek do uznania jej aktorskiego talentu. Zagrała z siłą, życiowo, przejmująco. Ostatni z trójki głównych osób — syn Franek, zareprezentował realnie młode pokolenie — żadne nauki a pozbawione warunków i możliwości pracy. To samo nam grozi, więc dobrze odegrana rola wzbudziła podziw dla aktora, współczucie dla przedstawionej postaci. Nieśmiała Zosia nie pozbawiona jest wdzięku. Żyd doskonale ucharakteryzowany w potoku słów czasem był niezrozumiany. Parobczaki, jak to oni, ważniejsze sprawy ich nie interesują, opowiadają plotki i żarty, większego pola do popisu nie mieli. Orkiestra, z powodu fatalnej akustyki, świetnie nie wypadła. Jeszcze raz trzeba z uznaniem wspomnieć o reżyserze, który dużo z swego słabego zdrowia w zorganizowanie „Niespodzianki” włożył. A więc coś co na prawdę udało się, coś co zostawi dodatnie, bardzo dodatnie wrażenie.

Konieczny Hieronim.

Pieniądz daje mnósiwo uciechy w życiu, ale też akurat tyle a czasami więcej niż uciechy. nicsie ze sobą zgryzoły

ST. ŻEROMSKI

„Expo 1937”

Wrażenia z Wycieczki do Francji.

(Ciąg dalszy)

Dnia 10 lipca br. „wylądowaliśmy” z naszym bagażem na „Gare de l'Est” w Paryżu.

Rozpoczął się nasz dziesięciodniowy pobyt w stolicy Francji. Uważam, że znudziłyby zapewne kolejny opis przedzonych dni. Nakreślę więc tylko kilka migawek.

Paryż ma 3 oblicza: dzienne, nocne i podziemne. W dzień podziwiać można ogromny ruch, przepiękne budowle, malownicze, leżące w centrum miasta, parki, jak Jardin du Luxembourg czy Jardin des Tuilleries. Można jednak wszystko to obejrzeć nocą. Ruch samochodowy. (tramwai nie ma już zupełnie,) nie maleje wcale. Do remiz i garaży wycofują się przeciętne auta, trzeszczące ciężarówki, a na lśniący asfalt Champs Elysées, Place de la Concorde, czy Grands Boulevards wysuwają się przepyszne, błyszczące limuzyny. To „high life” Paryża rusza na wieczorną przejażdżkę.

Przepiękne i niezapomniane wrażenie robi widok spod łuku Triumfalnego na Pola Elizejskie, których przedłużeniem jest Plac Zgody i rue Royale. Światła samochodów, zlewające się w jedno hen daleko przy zakończeniu ulicy, robią wrażenia jakiegoś pochodu robaszków świętojańskich.

Wszystkie gmachy zabytkowe Paryża i pomniki, a jest ich cała moc, są nocą oświetlone przez mnóstwo reflektorów, umieszczonych najczęściej tuż nad ścianą oświetlaną u samego spodu. Robi to iście bajkowe wrażenie. Na przykład z bardzo daleka widać kopuły bazyliki Sacré Coeur, na Montmartre, tylko dzięki silnym reflektorom, obrzucającym każdy załom muru teże, całymi snopami światła. Podobnie oświetlonymi są: Kolumna na placu zburzenia Bastylli, Panteon (tylko kopuła,) obelisk na placu de la Concorde, łuk Triumfalny, Madelaine, Les Invalides, Louvre i inne. Do tego „Paryża nocnego” trzeba oczywiście zaliczyć jeszcze i liczne zwłaszcza w dzielnicy północnej kabarety i „varieté.” Dość wymienić tutaj takie sławy, jak „Moulin Rouge,” czy „Folies Bergères.” Mieniają się one oczywiście kaskadami światła, wabia, pociągają, zapraszają do wnętrza. Wstęp kosztuje coprawda 100 fr., ale chętnych nie brak.

Ma jednak Paryż jeszcze jedno oblicze. To „Paryż podziemny.” Pod niemal każdą ulicą, (w śródmieściu oczywiście) ciągną się ciemne, długie tunele „metra.” Najpopular-

niejszy to środek komunikacyjny stolicy Francji, bo i nie kosztuje wiele (80 ct.) Można korzystać z 18 linii, liczących razem około 200 stacji. „Metro” składa się z trzech wagonów: dwóch drugiej klasy i jednego pierwszej klasy.

Ponieważ dosyć zabawnie „poczynaliśmy” sobie jadąc tym środkiem komunikacji po raz pierwszy, przedstawię te nasze „przygody.”

Mieliśmy zaraz po przyjeździe do Paryża, pojechać „metrem” ze stacji Gare de l’Est na stację Cluny, skąd już pieśzo mieliśmy pójść na kwatere, mieszczącą się przy rue Cujas w Quartier Latin. Rozdano nam bilety i zaprowadzono o kilka metrów pod ziemią, na peron „metra.” W strachu (wstyd to teraz przyznać) oczekujemy co teraz będzie. W międzyczasie koledzy cuda opowiadają o tym, że „metro” jedzie z szybkością „...dziesiąt km/godz”, że musimy uważać, aby nie przejechać swej stacji, bo się zgubimy, no i to najgorsze, że drzwi są zamykane automatycznie sprężonym powietrzem, tak, że jeśli się ktoś spóźni, to go gotowe są przytrzymać w swych kleszczach.

Lecz oto rozlega się hałas. „Metro” nadchodzi. Zniecierpliwienie wzrasta.

— Wsiadać do wagonów zielonych, omijać czerwony! — woła jeszcze p. dyr. Francić. Było to uzasadnione, ponieważ mieliśmy bilety drugiej klasy, a właśnie zielone wagony są wagonami tej klasy. Przyczyniło się to niestety tylko do większego zamętu. Z zgrzytem hamulców „metro” stanęło. Zaczęły się isticie dantejskie sceny. Wszyscy, w liczbie stu pięćdziesięciu zaatakowali jeden z zielonych wagonów. Efekt był piorunujący. Pasażerów, pragnących wysiąść, wepchnęliśmy z powrotem do wnętrza i jeszcze w dodatku rzuciliśmy z całym impetem o przeciwną ścianę wagonu. Odsapnęliśmy. Obejrzeliliśmy się na drzwi, które nam tyle narobiły strachu.

— Solidne! — mruknął z uznaniem ktoś. Snadź ujrzał się w myślach, przyciśnięty nimi.

No, ale stoimy dobrą chwilę, a tu jeszcze nie rusza. Owi pasażerowie zdolali się przecisnąć między nami i swobodnie wyjść a my jeszcze nie ruszamy. Zrozumieliśmy, że nas solidnie nabrano. Wreszcie rozległ się sygnał i powoli drzwi się zamknęły. Ruszyliśmy...

Po tej pierwszej lekcji korzystaliśmy często z „metra”. Zaopatrzeni w mapkę linii, często błakaliśmy się po Paryżu w czasie wolnym, dojeżdżając wszędzie kolejką podziemną.

Przyjechaliśmy do Paryża głównie dla tego, aby obejrzeć wystawę. Należy się więc i jej parę słów. Główne wej-

ście mieści się przy Place Trocadero. Pałac tej nazwy usunięto, stawiając na jego miejscu kolumnadę. Zaraz po przekroczeniu głównego wejścia znajdujemy się w alei narodów, która przechodzi przez Sekwanę, przebiega pod kolosem wieży Eiffla, a kończy się olbrzymim kinem pod gołym niebem firmy Lumière, na wprost Ecole Militaire.

W alei tej znajduje się i nasz, polski pawilon. Pisano o nim tyle, że nie wiele będę mógł już powiedzieć. W artykułach, choćby najostrzej krytykujących, dopatrzyłem się racji. W pochwałach trudno tego dokonać.

Jakże wstrętnie cmentarne wrażenie robi mętny stawek, kamienny nad nim most, mur, jakby żywcem z cmentarza wzięty i olbrzymia rotunda pełna czarnych, bez wyrazu figur. Głęboko zastanowić się musi obcokrajowiec, wychodzący z pawilonu sąsiedniego, niemieckiego, gdzie mamy wszystko ruchome, całe szeregi modeli, samochody, aparaty fotograficzne, lunety, czy Polska posiada przemysł, czy nie?

Są w dalszych częściach pawilonu wykresy, obrazujące wspaniały rozkwit fabryk. Nie patrzy na nie nikt. Map i wykresów mu nie trzeba. Tu trzeba atrakcyjności. Dlatego unika się bezdusznych map. Gdy zaś trzeba je zastosować, to stosuje się wabiki przykuwające widza. I tak Norwegia zastawiła cały pokój prześlicznymi fotografiami. Pod każdą mieści się mały guzik elektryczny. Za naciśnięciem zapala się żarówka na dużej plastycznej mapie, wskazując, gdzie dana miejscowość, oglądana na fotografii, leży na mapie.

Bardzo atrakcyjnym jest doskonały plan portu lenigradzkiego w pawilonie sowieckim.

Każdy samochód, pociągi z węglem, okręty, dźwigi, na modelu tym są w ruchu, poruszane magnesami, umieszczonymi pod modelem.

Każdy pawilon na terenie wystawy ma swoją specjalność. Belgia wystawia precudne diamenty. Czesi zakasowali nas pokazując wyłącznie przemysł, i to przemysł Skody, który jest imponujący. Włosi są nastawieni na Abisynię. Pełno więc map i fotografii, co już zrobiono. Egipt pokazał wykopaliska, ale nie zasklepił się w tym. Na dowcipnie skonstruowanych modelach pokazuje jak pracowali rolnicy za Ramzesów, a jak obecnie. Dania pokazuje maszyny, Austria propaguje turystykę itd itd.

Są i pawilony ogólne. Najważniejszy to pawilon komunikacji, dzielący się na pawilony lotnictwa i kolejnictwa. W podziemiach tegoż stoją pociągi poszczególnych państw.

Dopiero teraz możemy powiedzieć, że nie „poszkapiliśmy” się. Wagony polskie, a zwłaszcza aerodynamicznie obudowana lokomotywa, są przedmiotem podziwu, wszystkich bez wyjątku. Jedno pobożne westchnienie: „Oby PKP. wprowadziło takie wagony w ruch jaknajprędzej.”

Trzecia klasa — skórzane foteliki, przed każdym stolik. W wagonie fryzjer, dentysta, kino, bufet, sala dancinowa — słowem raj na kołach.

Przebiegniemy jeszcze budynki w samym Paryżu.

Zwiedzaliśmy Notre Dame, les Invalides, Panteon i inne. Przeziębne robi wrażenie wczesno-gotycka katedra Notre Dame. Ile tu pracy zakłętej w zawiłą mozaikę figur. Znane z nich są przecież słynne chimery na I. piętrze wieży.

Niezapomnianym wrażeniem jest chwila zwiedzania grobu Napoleona. Ileż to myśli ciśnie się na widok skromnej, ale monumentalnej trumny „Małego.” Cicho kołyszają się w podmuch wiatru, wpadającego przez otwarte drzwi, sztandary rosyjskie, austriackie orły, pruskie i angielskie wypłowiałe chorągwie.

Cisza tu panuje kościelna. W jednej z bocznych naw tumu inwalidów znajduje się grobowiec marszałka Francji, Wielkiej Brytanii i Polski — Focha, dłuta Landowskiego.

Na tym zakończę tę luźną garść wspomnień z Paryża.

Wypada więc jedynie dodać, że w dalszą drogę, do Brukseli, wyruszyliśmy z Gare du Nord dnia 20 lipca Nord-expresem Paryż — Amsterdam.

(Dokończenie nastąpi)

M. Banaszkiewicz

Wrażenia z podróży po Italii.

W opisach moich nie będę zbyt szczegółowy. Nie chcę bowiem tworzyć jakiegoś nudnego referatu a poruszę tylko tematy najważniejsze, o których przypuszczam, że mogą zaciekawiać, tak starszych, jak i młodszych kolegów.

A więc najpierw podróż. Pierwszym etapem mojej podróży był Wiedeń, do którego droga prowadziła przez Czechosłowację, ta jednak nie zasługuje na wzmiankę. W Wiedniu zatrzymałem się jeden dzień, aby poznać miasto, a w nim słynny kościół św. Stefana w stylu gotyckim, gmach opery, były pałac cesarski, no i Prater, przepiękną dzielnicę.

słynną w całym świecie, gdzie znajduje się między innymi „Wesołe miasteczko” pełne rozmaitych ciekawych rozrywek. Z Wiednia wyruszyłem wieczorem dalej, aby na drugi dzień w południe wysiąść w Wenecji. Droga ta była na prawdę bardzo ładna. Pociąg biegł wśród Alp styryjskich i karynczkich, góry te towarzyszyły nam aż do stacji granicznej Tavisio. Stąd już pociąg zjeżdżał licznymi serpentynami, wiaduktami i tunelami w równinę nadmorską. Pod Udną mknął po moście rzeki Piavv, minął sławne pobojuwisko wojny światowej, gdzie wojska austriackie poniosły ostateczną klęskę w roku 1918. Tak dojechaliśmy do stacji Mestre, ostatniej na lądzie stałym. Od Mestre do Wenecji jedzie się mostem mającym około 3600 m., po obu stronach widzi się tylko morze, co sprawia mniej przyjemne wrażenie. Most ten zbudowany za czasów obecnego regimenu, jest genialnym dziełem ludzkiego rozumu, wiedzy i wytrwałości.

Pociąg zatrzymał się! Stałem w Wenecji, o której tak wiele słyszałem. Wygląd stacji podobnej do wszystkich innych, nie zrobił na mnie specjalnego wrażenia. Gdy jednak opuściłem hall stacyjny, zatrzymałem się oczarowany. Zamiast spodziewanego pospolitego placu, pełnego aut i drożek, miałem przed oczami olbrzymi kanał, po którym pływały łodzie motorowe i słynne gondole. Po drugiej stronie kanału z wody wyrastały wspaniałe, w starożytnym stylu utrzymane domy. Oczywiście był to dla mnie widok niesłychanie ciekawy i niezwykły.

Nie korzystaliśmy naturalnie z łodzi motorowych, dobrze znanych i popularnych a wsiedliśmy do charakterystycznej, bo tylko w Wenecji używanej gondoli. Tych teraz zresztą jest coraz mniej. Jest to poniekąd winą rządu, który zamiast otaczać opieką gondolierów, pozwala na ich rugowanie, przez wprowadzenie tańszej łokmoci motorowej. A szkoda! Tradycyjne bowiem i oryginalne gondole dodają miastu wiele uroku.

Wenecja jest to jedyne w swoim rodzaju miasto w świecie. Jest położona na 122 wyspach, które się łączą 350 mostami, przeprowadzonymi przez 157 kanałów. Właściwie jedyną dogodną komunikacją jest komunikacja wodna; idąc piechotą można się też wszędzie dostać, ale trzeba przedzierać się przez bardzo wązkie uliczki i ogromnie nadkładać drogi. Mosty weneckie zbudowane są stylem łukowym, aby łodzie mogły swobodnie pod nimi przejeżdżać. Najsłynniejszym jest most Rialto, przeprowadzony przez „Canale Grande”, najgłówniejszą „ulicę” Wenecji, wynoszący 3,5 km. długości. Most Rialto jest ciekawym okazem: przez środek jego biegnie kolumnada, gdzie mieszczą się 24 sklepy.

Do najslynniejszych zabytków Wenecji należą: kościół św. Marka w stylu bizantyjsko-romańskim, oraz najświetniejszy z pałaców włoskich, pałac dożów. Obok świątyni wznosi się wysmukła dzwonnica zwana „Campanilla”, przepiękny zabytek Renesansu włoskiego. Gmachy te frontem wychodzą na plac św. Marka, słusznie nazwany „salonem Wenecji”, z powodu swej piękności i wytworności. Dużo oryginalności dodają mu chmary gołębi, krążących w powietrzu, które są bardzo obłaskawione a nawet zuchwałe. Szczegółowo zwiedzałem pałac dożów i kościół św. Marka i zachwyciłem się zabytkami sięgającymi nawet X-go wieku. Bardzo przykre wrażenie za to robią, więzienie i miejsce kaźni średniowiecznych. Oglądać tam można jeszcze łańcuchy i rozmaite narzędzia tortur, oraz napisy na ścianach. Pałac dożów połączony jest z budynkiem dawniejszych i dzisiejszych więzień mostem, zwanym „mostem westchnień.” Tędy prowadzono skazańców, aby po raz ostatni spojrzeć mogli na piękny świat. A świat ten jest naprawdę piękny..... Wenecja robi wrażenie krainy z bajki. Dla nas przyzwyczajonych do ruchu i gwaru większych miast, cisza, jaka tu panuje, robi wrażenie głębokie i tajemnicze. Nie słychać klaksofonów samochodowych, ani turkotu kół po bruku, ani zwykłego ulicznego hałasu. Od czasu do czasu rozlegają się tylko nawoływania gondolierów, mijających się w ciasnych zaułkach. Wieczorem zaś brzmi ich śliczny śpiew, odbija się od wód kanału i głośnym echem wznosi się do szafirowego, usianego gwiazdami nieba. Księżyc oblewa srebrnym blaskiem błyszczące wody i koronkowe pałace. A wszystko razem robi wrażenie sennego marzenia.

Z Wenecji odhylem półdniową wycieczkę na Lido, niegdyś najslynniejsze i najbardziej uczęszczane kąpielisko świata. Dziś jest to tylko pozostałość minionej świetności, choć sama wyspa dawniejszego piękna i uroku nie straciła. Błękitne fale Adriatyku pieszcza jej brzegi a złocista plaża kąpie się w promieniach słońca, to też wielką przyjemność sprawiła mi rozkoszna kąpiel.

Z budynków na Lido zasługują na uwagę: Dom kuracyjny i przecudny hotel-pensjonat „Esplador”, groteskowa budowla wyglądająca jak jakiś starożytny zamek, skąd rozciąga się wspaniały widok na Adriatyk.

Kahl Witold kl. VIII a.

Kolenda.

*W zwykłej stajni, Dziecię, Matka Cię zrodziła
A w braku szmat lnianych w ostre siano skryła,
A w braku kolebki włożyła w koryto
W zwykłe od bydłek, co je z desek zbito.*

*W tę noc Narodzenia było zimno Tobie,
Więc Cię ogrzewały wół, osioł przy żłobie
W tę noc Narodzenia ciemność w stajni była,
Więc gwiazda Jakuba jasno Ci świeciła.*

*Nędzny, smutny obraz: Bóg w stajni zrodzony
I stąd od bogatych zewsząd opuszczony
I stąd od biedaków, nędzarzy kochany
On, w stajni zmierzwionej Bóg i Pan nad Pany*

*Droższyś Ty nam, Jezu, pośród takiej biedy
Niż braci pastuszej tam u żłóbka wtedy,
Droższyś w zwykłej stajni, w schronisku tułacza
Niżli w jakiej sali pałacu bogacza.*

*Bez królewskich bogactw, bez wielkiego mienia
Masz w kryzysie u nas więcej zrozumienia...
A zmierzwiona stajnią wyrzutem dla świata
Coraz to czystsze, co z grzechem się brata*

*W kolendzie zaś Tobie, o nasz Jezu Drogi,
Tylko nasze serca składamy pod nogi,
Które Ci dajemy z największą ochotą...
Nie stać nas na mirę, kadzidło i złoto!*

Stanisław Zybała

Jak nie dużo zostaje z człowieka, gdy
odjąć od niego wszystko, co mówią
o nim inni.

Z. NAŁKOWSKA

Z TEKI WZOROWYCH WYPRACOWAŃ

Realności i marzyciele w „Lalce”

Bolesława Prusa.

Ręka zaborcy stłumiła powstanie styczniowe. Społeczeństwo trwało jakiś czas w bezwładzie i bolało nad upadkiem. Po pewnym jednak upływie czasu zaczęto dochodzić przyczyn upadku. Pewna część twierdziła, że naród polski nie dorósł jeszcze do niepodległości.

Społeczeństwo rozbite było na grupy, między którymi pogłębiała się przepaść. O niepodległości nie marzyły szerokie masy ludu, którym brak było często nawet kawałka chleba; arystokracja także zrujnowana była nie tylko gospodarczo, lecz także moralnie. Naród polski przekonał się, że liczyć na przyjaciół nie może, tylko sam sobie musi wywalczyć wolność. Trzeba było walczyć nie orężem, lecz pracą codzienną, szarą pracą. Padły hasła pracy od podstaw, pracy nad przebudowaniem całego społeczeństwa. Hasła te podjęła przeważnie młodzież, niezrozumiana przez starsze pokolenie — pokolenie wychowane w dobie romantyzmu.

Bardzo charakterystycznym przedstawicielem tego pokolenia jest Rzecki, początkowo opiekun i nauczyciel (życia) Wokulskiego — później przyjaciel i kierownik składu. Był nieprzekonanym konserwatystą, o czym świadczył choćby jego niezmienny tryb życia. Nie korzystał z udogodnień, lecz wolał żyć tak, jak już się do tego przyzwyczaił. Z pamiętnika jego dowiadujemy się, że w młodości był oficerem w służbie węgierskiej. Sądził, że jeśli Polacy pomogą Węgrom w oswojeniu ich ojczyzny, to ci znów współdziałać będą w walkach o wolność Polski. W duszę wszczepiony miał przez ojca kult i wiarę w Napoleonów. Dlatego to twierdził, że przyszłości nie należy budować na wybitnych jednostkach (np. Metternich, Bismarck), lecz na dynastiach (dynastia napoleońska). Wierzył, że nadejdzie ta chwila, kiedy Napoleon z potęgą militarną zjawi się na ziemiach Polski, pogłębí zaborców i utworzy państwo polskie. Nie trapił się tym, że młody Napoleon przebywał w Londynie, a nie w Paryżu, „choć przecież z Londynu do Paryża bliżej niż z Warszawy do Zamościa.” Podobnym mu marzycielem był jego przyjaciel, Katz, który popełnił samobójstwo, gdy rzeczywistość okazała się inną od jego marzeń.

Marzeniem przesowej Zastawskiej było polepszenie doli chłopów. Pracowała dużo w tym kierunku i rzeczywi-

cie częściowo niedolę umniejszyla. Szczerą sympatią darzyła Wokulskiego, bo ten był bratankiem człowieka, którego pokochała swą pierwszą miłością.

W szeregu marzycieli stają dalej Geist i Ochocki. Ludzie, których ogół uważał za nieszkodliwych wariatów. Geist pracował nad wynalezieniem metali lżejszych od powietrza a Ochocki chciał zbudować „perpetuum mobile.“ Geist zerwał całkowicie stosunki z ludźmi i pracował w samotni laboratorium. a Ochocki zaniedbywał się i zapominał, przez co narażony był na szyderstwa i pośmiewiska.

Pozytywistą z uczuciem romantyka jest Stanisław Wokulski. Przez sumienną, trzeźwą pracę doszedł do wielkiego majątku. Pomnożył go jeszcze przez spekulacje w czasie wojny w Bułgarii. Założył spółkę dla handlu ze Wschodem, która mogła dać wielkie korzyści arystokracji. Wspomagał i zatrudniał biednych, opiekował się uciśnionymi, sprawadzał z manowców na drogę życia prawego — jednym słowem był jednostką wartościową. Miał więc warunki do szczęśliwego życia. Na swe jednak nieszczęście miał w sobie uczucie romantyczne. Pokochał całym sercem „lalkę,” która nie była godną jego miłości; dla niej działał i trudził się, lecz kiedy przekonał się o rzeczywistym stosunku Izabelli do siebie, popełnił samobójstwo. (Nie wiadomo. Red.) Skończył jak romantyk, choć pracował przez życie jak realista.

Żydzi w „Lalce” to typy trzeźwych ludzi, którzy zdobywają majątek, nie zważając na uczucie, ni wzgardę. Młody Szlangbaum w początkach swej kariery był pokornym, nie obrażał się na nikogo, lecz gdy stał się właścicielem składu Wokulskiego, wtedy dopiero pokazał się we właściwym świetle. Stary Szlangbaum kochał więcej pieniądze, niż syna i choć ten cierpiał wielką biedę, nie bardzo go wspomagał, bo potrzebował pieniądze do „geszeftu.” Dr. Szuman wytykał Polakom zbyt ni idealizm i marzycielstwo, a dawał im za wzór Żydów, którzy „choć są łajdaki ale zawsze genialny naród.” Zajmował się psychologią, a życie poświęcał na badanie włosów człowieka.

Wielce życzliwie usposobionym w stosunku do Wokulskiego był Suzin, kupiec rosyjski. Ten systematycznie powiększał swój majątek, w sentymenty się nie bawił, bo nie miał na to czasu. Radził też Wokulskiemu, by solidnie zabrał się do pracy, toć wspomnienie miłości zginie.

Oprócz niego mamy bardziej pobieżnie nakreślane sylwetki realistów. Są nimi jegomość „z miną zakrystiana” i pan „z obliczem łajdaka” — który zarabiali na licytacjach, podbijając ceny. Nie było w nich odrobiny marzycielstwa.

Teraz zreasumujemy wyniki życia realistów i marzycieli. Marzyciele zeszli ze świata, nie zostawiając dziedzica dla swych idei. Rzecki właściwie pozytywnych wyników swej pracy nie zostawił. Katz popełnił samobójstwo, nie osiągnąwszy celu. Prezesowa Zasławska ulżyła niedoli chłopskiej tylko na przeciąg własnego życia. Jej następcy — dziedzice majątku — nie działali na pewno w imię idei, lecz własnych interesów. Wokulski zginął tragicznie, niszcząc dzieło całego życia. Geist i Ochocki też nowych ideałów nie zrealizowali, a życie zmarnowali w pogoni za nimi. Pozostali Żydzi. Objęli w posiadanie przedsiębiorstwa, pozakładane przez Wokulskiego. Utrzymał się też przy swym majątku Suzin. Zwyciężyli więc realiści a zniknęli marzyciele. Owoce ich pracy zostały zrujnowane, zapomniane, lub też przejęli je inni, korzystając z nich w pełni.

Stefan Moczko kl. VIII b.

Krytykomania.

„Promień“ zbacza z dobrej drogi. Rozrosła się mniej lub więcej pretensjonalna krytykomania. Od czasu słynnego przez swoją tendencyjność i osobiste zaczepki artykułu „Harye'go“ (Gomółki Jana) p. t. „Przegląd“, prawie w każdym numerze jest jakiś kwiatek zerwany na zielonej łące w czasie osobistej wycieczki. Dopiero w przedostatnim (listopadowym) wonieje aż cały bukiet tych „kwiatków“, boć nie mniej jak 10 osobistych wypadów.

I tak autor „Expo“ dotychczas spokojny i rzeczowo piszący, nagle ni przypiął ni przyłatał. powołując się na „burzę krytyki“ (której jednak jego pierwsza część „Expo“ nie wywołała!) rzuca w kierunku moim wyraźną, ale bardzo mizerną zaczepkę, afiszuje się pewną koleżanką i wchodzi niepotrzebnie w sprawę osobiste K... (Wykreślono Red.) Dla mnie jasnym jest, że „kierownik tych wycieczek“ ma jakiś żal do mnie, czy coś podobnego, że „burzę krytyki“ przypisuje sobie niesłusznie i zarozumiale!

Wreszcie „Podsluchana rozmówka“. Całkiem niefortunnie podsłuchana a jeszcze gorzej spisana. Cóż kolega chce od „Expo“? Całkiem poprawny i nawet ciekawy artykuł. Za długi? Wycieczka do Paryża to niecodzienna na terenie gimnazjum naszego rzecz. przeto i reportaż z niej w „Promieniu“ ma swoją atrakcję. Krytyk rzeczowy zarzuciłby może

co samemu stylowi, uwydatnieniu nieciekawych faktów — ale kol. „krytyka” jest taka, że nic z niej ani nauczyć się, ani wywnioskować nie można. A przecież krytyka jest na to, aby podnosić, doskonalić i uczyć przede wszystkim.

Co do interpretacji mego wiersza „Życie”... Kto życie ogranicza tylko do chodzenia po ulicy, kto alegoryczną „ulicą” w wierszu rozumie jako ulicę „Kolejowa”, kto nie może pojąć u kolegi życiowego optymizmu i trudu borykania się z życiem, ten jest rzetelnie ograniczony i temu żadną miarą nie przyznam miana krytyka. I jeszcze jedna delikatna sprawa. Znamy się dość dobrze, może więcej niż po koleżeńsku (basen, wakacje!)... Mniejsza już o fakt wysmiania mego wiersza... Kolega dał do Redakcji swoją „krytykę” a potem na ulicy zupełnie po staremu ze mną starał się szczerze rozmawiać, ukrywając przede mną pretensje, których powodem „krytyka”. Jedno co znaczne, to podpisanie nazwiskiem „Pod-słuchanej rozmówki”. Krytyk nie tylko dotyka tego, co złe, co nie na poziomie, ale i dobre rzeczy omawia, wskazując na udatne, trafne myśli, zdania, wskazując drogę po której warto dalej iść w dobrym kierunku.

Poważniejsze artykuły kol. zbywa półgębkiem. To demaskuje. A u kol. Erte w „Balladzie” jest według kol. „jakiś posmak poezji”! Żal mi kolegi. Albo zakończenie „Rozmówki...” „...Reszta [artykułów w owym numerze „Promienia”] bardzo dobra!” A więc „kącik krytyczny”, „Sprawozdanie z funduszu społecznego”, sprawozdanie z wyników „Venetii”, „Spis rzeczy” — to są „bardzo dobre”, jedyne „artykuły” w „Promieniu”, które zostały wyróżnione przez koleżkę — „krytyka”? Współczuję.

A teraz parę słów do przeszłej i przyszłej krytyki „promieniowej.”

Krytykomania, to rzecz najłatwiejsza w świecie (kłaniam się uniżenie wszystkim moim „krytyczkom” „tudziej i krytykom”). Napisanie zaś porządnej krytyki wymaga często nawet więcej pracy, inteligencji i wiedzy, niż sformowanie jakiego utworu, artykułu, wiersza. Niech do krytyki podwija rękawy ten tylko, kto wie co to jest praca, kto ma wielkie odczytanie, kto sam wie, ile trudu kosztuje spłodzenie wartościowej rzeczy, kto czuje, że nie ma osobistych uprzedzeń do danego autora, czy kwestii przez tegoż poruszanej. A jeśliby miał uprzedzenie, niech na czas pisania recenzji zapomni o nienawiści, lub zbytnej sympatii. Krytyk musi być spokojny, musi mieć wiedzę i musi być obiektywny, inaczej będzie tylko krytykomanem, lub „krytykiem”.

Już parę lat piszę do „Promienia” ale w osobiste wy-
cieczki nie wybierałem się nigdy i na napaści odpowiadam
tylko w otatecznym razie. Umiem ocenić rzeczową krytykę.
Niestety w murach tutejszego gimnazjum jeszcze takiej nie
spotkałem. Jeżeli doszedłem do jakich wyników w zakresie
stylu, języka, kompozycji, to tylko po omacku, samotnie,
bowiem nikt mnie ani nie uczył, ani nie ganił. Od krytyko-
manii nauczyłem się tylko ironii dla niej, i skonstatowałem
że najwięcej wydzierają się na polu ci, którzy najmniej są
do tego powołani.

Czas, wielki czas, aby powyrywać z „Promienia” chwa-
sty i łatwe silenie się na popularność, czas skończyć z ura-
zami osobistymi, boć te można inaczej załatwiać. „Promień”
to nie „Pokrzywy”. Nie „podsluchuj” więc, ale zabierz się
do roboty i napisz rzecz poważniejszą, wartościowszą, albo
napisz humoreskę — ale nie „krytykuj” mnie dalej, boś na
tym polu narazie poźrebany.

Padam do nóżek... Z poważaniem

Józef Szczublewski.

Ruch w mieście.

Długie, szerokie biegą het ulice
Trąbią co chwila autobusowe trąbki
Rano do szkoły idą uczennice,
Gimnazjaści i te z powszechnej „baki”.

Tłum ludzi przewija się gwarnie,
Tętnią koła wozów, turkocą pojazdy,
Na rogach ulic wznoszą się latarnie,
Które wieczorem świecą niby gwiazdy.

Wysokie domy, dawnych ojców prace,
Dawne budowle z bardzo stromym dachem.
A czasem wielkie odślonią się place,
Z pięknym pomnikiem i wspaniałym gmachem

Idziesz — i nagle obrazy się zmieniają,
Krzyk malców, woń kwiatów doleci:

To park lub ogród, szumiący zielenią,
W którym biegają rozbawione dzieci.

I tam w ciemnościach, gdzie wąskie uliczki,
Wśród starych domów, wiją się ludzie,
Stoją w okienkach z kwiatami doniczki,
I dziewczę szyje. śpiewając piosenkę.

W wieczór widnieją sklepowe wystawy,
Ruch uliczny wzmagą się, lub ginie.
Na ruchliwe miasto wszedł mrok szarawy,
I srebrny księżyc nad domami płynie.

Bestry II a

Tego jeszcze nie było!

(Niby reportaż)

„Istotnie” — powie czytelnik, po przeczytaniu tego artykułu — „tego jeszcze nie było”. Bo oto co było.

W jednej z klas „komunistycznych” (ze względu na kolor tarcz) powstał projekt, żeby zbiorowo iść wieczorem do kina, ale pod „opieką”. Tą „opieką” miał być ten, który wie gdzie nas w głąb greckich i rzymskich mądrości, jak Hermes wie gdzie dusze w głąb Hadesu (!?)

Projekt prędko stał się rzeczą dokonaną. „Dziś o 7-mej przed kinem!” usłyszałem pewnego dnia. Gdy „composita hora” stanąłem razem z kol. „Morycem” przed jednym z ostrowskich przybytków X-tej muzy, „opieka” była już na miejscu. Nasza banda też już się pomalu zbierała. Gdy zaś spora paczka była na miejscu, „opieka” powiodła nas na wyżyny ostatniej łoży, którą też zajęliśmy na nasz wyłączny użytek. Przed drzwiami kina stanęła czujka (a jakże, przecież my po wojsku!) która kierowała przybywających na właściwe miejsce. Wszyscy usłuchali, tylko „komisja” się zbuntowała i z braku „czasu” poszła na „...e miejsca”. Niektórzy uważali, że nasza „opieka” jest niewystarczająca, przyszli więc pod opiekę „familii”. Każdy z nas, który wchodził do okupowanej przez nasza paczkę łoży, zmuszony był przymierzyć kapelusz „opieki”. Inaczej do naszego towarzystwa nie był przyjęty. Po tej ceremonii kapelusz

spoczął na honorowej poduszce, utworzonej z naszych płaszczy, złożonych w kącie łoża. Oczywiście, że przez cały ten czas nie brakło dyskusyj na rozmaite „poważne” tematy. A trzeba było jakoś czas zapłacić, bo kino do naszej punktualności nie chciało się zastosować i z typowo ostrowską punktualnością rozpoczęło program. Wesóły nastrój utrzymywał się przy tygodniku i wkładkach, znikł jednak przy samym filmie. Czasem tylko z ciemności „wystrzeliło” jakie „powiedzzonko”.

Wesóły nastrój wrócił dopiero na ulicy. Beładna początkowo grupa w drodze formowała się w czwórki, które z paradą wiodły „opiekę” do domu. Widok rynku nasunął nam znakomity (?) projekt. Oto po szczęśliwie (daj Boże!) odbytej maturze, „Wenecjanie” rozegrają na rynku mecz piłki nożnej. Zwykły kostium piłkarski będzie tu uzupełniony cylindrem. Co do reszty niendzwojnych przyborów, to takowe już są, mianowicie „Moryc” i „Florek” ofiarowali swe bramy na bramki. Brak tylko jeszcze piłki. Sędzią zaś będzie osoba ze sfer urzędowych, która daje gwarancję, że mecz odbędzie się bez przeszkód. „Wenecjanie” przypuszczają, że komisja maturalna (ta prawdziwa!) będzie też chciała ten mecz oglądać, nie zechce więc dekompletować drużyny. Ten projekt tak nas zajął, że ani nie spostrzegliśmy, jak staliśmy przed domem „opieki”. Pożegnaliśmy się pięknie i tak się nasza kinowa eskapada zakończyła. Pamiątką po niej jest wyżej wspomniany projekt i to, że gdy zobaczą nas na ulicy z „opieką”, o którejby to porze dnia było, mówią „Znowu z kina wracają!”

„Zuckermandel”.

Kanalizacyjne konie.

*Znacie je wszyscy! Wóz-śmieciarkę włoką,
Co zbiera śmieci i rynsztołoczne gnoje,
Zebrane w dziurach pod bruku powłoką.
Raczyło na nie spojrzeć oko twoje?
Przeszedłeś pewnie obok tyle razy,
Rzuciłeś okiem na te końskie trupy
I szedłeś dalej pełen tej odrazy,
Którą wzbudzają zgnile ścierwa kupy...*

*Robotnik dźwigiem oczyszcza kloaki
 — One spuściwszy głowy martwo stoją
 I medytują, że życie los taki
 Dało im tylko na wygodę twoją.
 Brud i kurzawa, maść zbrukały siną,
 Przeżarły skórę i mięso im niszczą.
 I tak już one pomaleńku giną
 I braciom swoim końskości zawiszczą.*

*Płaczą na sucho ślepie zrogowiałe
 I patrzą smutno z wyrzutem boleści,
 Że łęk nie widzą przez swe życie całe,
 Że zgrzebło, szczotka skóry im nie pieści
 I tak już stoją obolałe, smutne,
 Że je ominął życia czar przemity,
 Pocichu kwilą na życie okrutne
 I na stargane swoje końskie siły.*

Stanisław Zybała

Spotkanie.

Dajcie mi spokój! — zawołała i mimo woli wyjrzała oknem na ulicę.

Był mroźny grudniowy dzień.

W pokoju ciepło było i wesoło. Wszędzie panował gorączkowy ruch, przygotowanie do wili.

A tam, za oknem!..

Też przygotowanie się do wili.

Wiatr huczał śnieżycą popod oknami, niebo sypało białawym puchem, ulice powoli, powoli nikły pod srebrnym pokrowcem, tworzyły się zapory i wszędzie nic więcej nie było widać — tylko świat bajkowy..

Cudowna wilia!..

Hej! cudowna!..

Serce radowało się i cieszyło..

Ulicą przesuwały się szybko postacie i nikły w pobliskich bramach, otrząsając z ciepłych płaszczy piętno zimowej zawieruchy.....

A ona wciąż patrzyła oknem, patrzyła i czuła zimno szyby na swym rozpalonym czole...

Nagle drgnęła.

Na środku ulicy pokazali się jacyś ludzie. Szare, wytargane płaszcze, głęboko zaciągnięte na uszy czapki, ręce w grubych, płóciennych rękawiczkach i buty długie. W rękę każdego duża, drewniana łopata, odgarniająca śnieg. Ciała jednostajnie, to schylają się, to prostują, schylają, prostują. Za nimi biała wstęga bruku, po bokach zaś góry powoli topniejącego śniegu...

Czolo jeszcze więcej przylepiła do szyby i oczy wpiła w pracujących ludzi,

Szczególnie w jednego! Długo nie spuszczała z niego wzroku, długo, długo...

Aż zerwała się...

Po chwili znalazła się na ulicy.

Tak, ten sam! Pamięta dobrze! Dwa lata temu, jeszcze dwa lata temu chodziła z nim na przechadzki wśród długich, czarownych wieczorów. Zimą jeździli razem saniami, latem oddychali razem cudowną wonią kwitnących bzów i jaśminów.

Potem urwało się wszystko.

On zdał maturę i wyjechał — podobno do stolicy na studia. Dwa lata go nie widziała, aż dzisiaj...

Stała przed nim, gdy właśnie odwałwał największą zasypę.

— Jurek! Jurek — wyszeptała cicho — co robisz?

Spojrzał i zachwiał się. Oczy zaszyły jej mgłą a on stał i patrzył, patrzył..

— Wandziu! Nie mogę! Dziś wilia, na chleb chcę zarobić...

A ona nie wytrzymała, owinęła się w swoje futerko i zniknęła w bramie.

W mieszkaniu utonęła w miękim fotelu i długo, długo szlochała..

A Jurek za oknem wciąż odgarniał śnieg w grudniowy, mroźny wigilijny dzień.

Erte

Kwiat i motyl...

Jest pączek kwiatu, co go wiew wiosny
Do życia lekkim całusem budzi;
On się rozwija zaraz radosny
I pięknem płatków motyle ludzi...

Wnet też przyleci w milej podróży,
Sam po raz pierwszy na kwiat opadnie.
Łacno kwiat pięknem skrzydeł odurzy
I słodki nektar zdobędzie snadnie...

Motyl — motylem, więc dalej leci
Spijać nektarów słodkie kielichy
A kwiat na łące zostaje cichy...

Wspomnienie tylko z nim pozostanie
Ono z motylem także w dal leci,
Przypominając to pierwsze ssanie...

Stanisław Zybala

Deklamator.

(Historyjka w obrazkach.)

I. obrazek: Sala zebrań: „Prezesi klas, organizacji i ich samodzielnych sekcji” zebrałi się na naradę. Rada Główna głównie uradziła zająć się urządzeniem wieczorków świetlicowych. Uchwalała ta znalazła swój wyraz na piśmie. Brzmiała ona tak:

„My Rada Główna: prezesi klas, organizacji i ich samodzielnych sekcji, oznajmiamy, że zajmujemy się urządzeniem wieczorków świetlicowych i to każdy prezes klasy, organizacji, czy jej samodzielnej sekcji wespół ze swoimi podwładnymi zajmie się urządzeniem wieczorków świetlicowych.

Ostrów nad Ołobokiem, dnia pochmurnego, miesiąca jesiennoego, roku, jak bystra woda bieżącego.

Podpisano: (nieczytelny) prezes
i (nieczytelny) sekretarz

II. obrazek: W klasie: Jeden z członków Rady Głównej, prezes klasy, która posiada... prezesa, już „na dobre” zabrał się do pracy nad przygotowaniem występów (przecież już za... 4 miesiące wieczerek!) Rozpoczął od rozdawania prac swoim podwładnym. Między nimi (tymi podwładnymi) znalazł się chłopak wysoki od stóp do głów, szeroki w barkach od lewej ręki do prawej, z nosem ciągnącym się aż... do końca, ze spodniami długimi, jak ich wypustki i z oczyma położonymi... poniżej brwi. Temu właśnie człowiekowi prezes polecił „wykuć na pamiętkę” wiersz do deklamacji humorystycznej. Przy otrzymaniu tego polecenia, uszczęśliwiony zarumienił się a po tym robiąc „wspaniałą” minę, spojrział z dumą dookoła. W klasie zapanowała cisza... przed burzą śmiechu i oklasków, która po niej nastąpiła. — To była pierwsza burza w tej historii.

III. obrazek: W mieszkaniu deklamatora: Od kilku dni ojciec nosi watę w uszach, matka założyła na uszy słuchawki od dawno zepsutego detektora, bracia młodszy uciekają z domu, a starszy ze wściekłą miną przesiaduje w najdalszym pokoju.

Co to? Niewiadomo. Ale stańmy na chwilę, słuchajmy. Dochodzą nas dźwięki podobne do głosu... różnej pily, lub równomiernie poruszanej maszyny:

„... Zagrzmiało, zaryczało... Za... zagrzmiało, zaryczało za...”

Słuchamy pięć minut: „zagrzmiało... zaryczało...” Dziecięć: „zagrzmia... zary...” Pół godziny, godzina.

Uciekamy od głosu różnej pily. Już wiemy, dlaczego młodszy bracia uciekli.

IV. obrazek: Po 2 miesiącach w klasie:

— Mundziu, dlaczegoś taki zaspany?

— „Kulem” wiersz do deklamacji.

— Jeszcze ten sam? Umiesz już?

— Nie zupełnie, ale nie zadługo będę „klawo” deklamował go w całości.

— Wyobrażam sobie, jaki to będzie wspaniały wiersz i jak ty go wspaniale wygłosisz... Po tylu trudach...

V. (ostatni) obrazek: Aula, po 4 miesiącach: Nareszcie wieczorek. Aula „zapchana”. Występy. Śmiechy co chwila.

Nasz deklamator czeka na swoją „kolejkę”. Serce mu bije, jak ojciec po „portkach.”

Prezes zapowiada:

— Teraz kolega Edmund Szneka-Kujoński wygłosi wiersz humorystyczny.

(Po tych trudach... Po czterech miesiącach... Teraz nastąpi uczta duchowa...)

Mundzio wychodzi. Wodzi znów swym dumnym wzrokiem dookoła, chrząknął raz i drugi.

Zaczął:

„Burza i po tym.” przez nie-Józefa i nie-Sz-skiego.

Zagrzmiało...

Zaryczało...

Piorunów (!!!) sto tysięcy. .

A po tym... cisza...

cisza...

i... nic więcej.

„TZON.” III a.

„Niespodzianka“ od „podszewki“.

Wielu Kolegów oglądało „Niespodziankę“ z widowni, wielu zna jej treść. ale mało kto wie, co za „tragedie“ działy się nieraz za kulisami od strony „kuchni“, albo nawet na scenie, niewidoczne dla widzów. Dla nich to chciałbym tu nie jedną taką „tragedię“ opublikować. Obawiam się jednak, czy to zrobić. Mógłbym zostać źle zrozumiany, że chcę wyśmiać sztukę i Bóg wie co jeszcze. Myślę jednak, że Czytelnicy mnie rozumieją, że nie mam na celu wyśmiania sztuki, lecz, że chcę pokazać, jakie to nieraz „kawaly“ dzieją się za sceną. Napiszę więc coś w rodzaju migawek teatralnych.

Zaczynam:

Tragedia jest, gdy klej nie godzi się z wąsami. Spytajcie się ojca! **W** Skalmierzycach rozpaczał tak nad Antkiem,

że aż głowę schował w łóżko, tak, jak publiczność widziała. On tym czasem usilnie przyklejał wąsy, które, jak na złość, opadały.

Zbytnią energią nie jest pomocą na scenie. Wie coś o tym sufler, któremu frankowy but na fizjogonii wylądował.

Mamy dwóch ludzi, którzy potrafili nalać z pustego w próżne. Abramek nalał a ojciec wypił i jeszcze był zadowolony.

Że poświęcenie się jest nieraz rzeczą przykrą, przekonał się Jędrzek. Chcąc uczynić butelkę pustą, tak jak tego wymagała sztuka, wypił prawie pół litra wody.

Co zrobić, gdy brak czego na scenie? Drobiazg! Woła matkę, ona wychodzi za kulisy i sprawa załatwiona.

„Zuckerandel”

Bokser a my.

*Napięte w stal muskuły,
Skupiony wzrok i wola,
Co dzień na karku ciosy,
Zwykła bokśerska dola.*

*Wykute na pamięć wiersze,
Ściągaczek pełne stosy;
Co dzień na lekcjach „fify” —
Zwykłe nasze losy.*

Leszek M. III b

45 minut.

(Refleksje i charakterystyka z lekcji angijskiego klas IV.)
Lekcja...

Sala niewielka: trzy okna, drzwi, sufit, podłoga i cztery ściany, ozdobione masą obrazów, porozwieszanych w największym nieładzie. 19 ławek, katedra; na katedrze... pióro i atrament, za katedrą... krzesło z... poręczą.

Cztery ławki zupełnie puste, reszta upstrzona mniej lub więcej utyruowanymi głowami.

Ławek trzy rzędy: dwa skrajne zajmują tylko chłopcy lub tylko dziewczynki, środkowy, jak kto woli — chłopcy i dziewczynki, dziewczynki, z nadmienieniem, że dziewczynki są na przodzie.

Przejdźmy po kolei.

Rząd pierwszy: czarnowłosa Bimbo, jak mnie informowano — bardzo miła; ładnie wygląda, szczególnie z zielonym sznurkiem (co to oznacza — nie wiem) przy mundurze harcerskim, gdy prowadzi drużynę; obok niej główka (bliżej mi nieznaną) o ładnie lokowanych włosach. Dalej czworooka koleżanka, szukająca wokół siebie czerwonych... tarczy (na ramieniu kolegów), czego jednak nie może znaleźć (Coś więcej mógłby napisać jeden z moich kolegów). Jej sąsiadka — wyróżniająca się niezwykle ekscentryczną fizjognomią — zwróciła od razu uwagę wszystkich. Z dalszych dwóch ławek widnieją główki, których właścicielki odznaczają się mniejszą lub większą aktywnością na lekcjach; mało znane. Ostatnia ławka — od okna — osoba, która często wysiła się na różnego rodzaju „powiedzionka”, w rezultacie słabe, wcale nie proporcjonalne do jej tuszy. Taki stan, (zdaje mi się) spowodował niedawno założenie czerwonej tarczy. Druga — także z liceum — wywiera całkiem inne wrażenie. Uważamy ją za najporządniejszą koleżankę.

Drugi rząd. Pierwsza ławka: Kry... ach! Przyszkolem jednemu z kolegów, że o niej nic do „Promienia” nie napiszę. Trudno, nie mogę, chociaż miałbym coś do napisania. Jej koleżanka — ujmuję wszystkich nader miłym wyrazem twarzy, zawsze uśmiechnięta i wesoła. Dalej — Komendantka P.W., bardzo dumna z tego; o ile tak dalej pójdzie — to skończy wysoko. Jej sąsiadka — bez większego wrażenia; dodam tylko, że raz podobno nie odkloniła się kolegom z angielskiego. To zresztą często się zdarza wśród koleżanek, zapominają, że „ukłonienie się jest tylko grzecznością, a odklonienie zaś powinnością.” Wreszcie ostatnia ławka: spokojna brunetka (Czyż... by zawsze spokojna?) i powszechnie znana (choćby z tańców na akademii w sali teatru) Hanka z ul. Mickiewicza.

To moje obserwacje z ostatniej ławki, podczas jednych 45 minut! Mógłbym naturalnie napisać znacznie więcej, ale i tak już dużo napisałem. Może jeszcze innym razem. Są zresztą rzeczy, których nie powinno się pisać, są... Czasem bowiem musimy się wstydzić i za siebie i nie za siebie.

Co do samej lekcji — to muszę przyznać, że wszyscy jesteśmy zadowoleni; nawet na zadanie szkolne tak bardzo nie narzekaliśmy.

Erte

P. przełożonej Bojarskiej
poświęca — Ilumacz.

Do Taliarcha.

Horatius: Vides ut alta

Spójrz-no, jak biała już gódzi w niebiosy
Góra Sorakte, jak pod puchem białym
Lasy gną barki i brzegów swoich nie rosi
Strumień; wody skuł pancerz, którego nie znały.

Dolóż sosnowych polan do komina
 Aby odpędzić ów chłód przenikliwy.
 Niech, Taliarchu, ambrozja jedyna,
 Sabińska, tu stanie w amforze sędziwej.

Resztę zdaj bogom: oni cię usłyszą
 I wichry, nawałnice morskie, chmury
 Czarne, złowrogie rozpędzą, uciszą —
 Że ani cyprys nie drgnie ani jesion bury.

Oto, co losy ci niosą, nie pytaj.
 Ani, czy jutro przyniesię zawody.⁴
 Wszystko to przyjmij i za zysk poczytaj.
 Kochaj i baw się i tańcz pókiś młody

Pełen sił — ciesz się; dopóki daleka
 Starcza gderliwość niezadowolona.
 Pole *) i place już ciemność powleka —
 — Miłosnych szeptów pora umówiona.

Już dolatuje się śmiech — zdrajca miły
 Ukrytej w kącie figlarki dziewczyny.
 I paluszek, czy rączka, co nosiły
 Dopiero co wzięty zastaw miłości jedynej,
 Z wahaniem się cofnie.

Konieczny Hieronim

*) Marsowe

KĄCIK NAJMŁODSZYCH.

W noc wigilijną.

Śnieg padał powoli wielkimi płatami i pokrywał puchową pierzyną pola rozległe, zamknięte w ciemną obręcz boru. W chatach, mimo późnej godziny, gorzały w oknach światełka. Siedziano przy stołach, śpiewając kolędy w oczekiwaniu na północną godzinę. Czas płynął..... Gospodarze wyciągali raz po raz cebulaste zegarki z kieszeni i kiedy

wskazówki zbliżać się poczęły do godziny 23, dali hasło do wstawania. Zawinięci szczelnie w kożuchy, uzbrojeni w sękatę dębczaki, wychodzili. Najpierw gospodarze domu, za nimi domownicy i na koniec dziewuchy piskliwe z parobczakami. Szli poprzez pustynię śniegową, ku kościółkowi, co z dała wołał ich do siebie srebrnym głosem sygnaturki.

Wnętrze Domu Bożego gorzało wszystkimi światłami. Poznikały gdzieś pajęczyny, zwisające zwykle ze sklepienia ciemne plamy wilgoci na ścianach pokryły wesole błyski, jakaś dziwna błogość snuła się po nawach i wnikała do serc ludzkich.

Na kazalnicę wszedł ksiądz. Młody był, na twarzy miał ogień zapalu, w oczach iskry radości.

„Bracia!!” — wołał — „radujmy się, bo oto nadeszło zbawienie świata...”

Mówił długo i pięknie. Pod szarymi kapotami, pod barwnymi gorsetami, ozdobionymi sznurami koralu, żywiej zaczęły uderzać serca, krew krażyć zaczęła silniej, wyprostowały się zgarbione od trudu ciągle plecy.

Wtem huknęły organy. Stary organista zmrużył krótkowzroczne oczy za grubymi szklami i z miejsca zagrzmiał najgrubszymi tonami. Jeszcze echo tego grzmotu tulało się po kościele a już stary wyga organowy przebiegał prędko i zręcznie po przeciwny stronie klawiatury, wywołując głosy piskliwe i cienkie. Mieszały się tony ze sobą, zespały w akordy, czasami milkły zupełnie, żeby po chwili wytrysnąć ze wzmożoną siłą. Aż podnosili ludziska zdumione oblicza i szeptali ze zdumienia:

„Cie go! Ale graje, no, no”.....

Uchły organy. Chwilę panowała uroczysta cisza, jedna z tych, w których usłyszeć można bicie własnego serca. Lecz oto znowu z chóru rozległ się ryk piszczałek, wtórujący grubemu basowi organisty: „Anioł pasterzom mówił...”

Pochwyciły pieśń dziesiątki gardzieli i runęła pieśń ogromna, mocna, odbijała się o grube filary, kotłowała nad głowami ludzkiego mrowia i wreszcie, przez otwarte odrzwia, wyleciała w świat, aby na skrzydłach wiary wznieść się ku gwiazdom, pod tron Boga.

Bój.

Zagrały surmy.

Błysnęły w słońcu pałasze,

sztandar wesoło trzepoce na wietrze.

Wypadły z lasu odważne wojska nasze,

i głośnie hurra przeszło powietrze.

Walka wre.

Padają gęsto, jak podcięte drzewa.

Trudno, gdy taki los przypadł im w udziale.

Ręce zabijają, serce pieśń błagalną śpiewa.

Już z sił opadają i biją niedbalej.

Już tracą siły.

Już miecza do góry nie można udźwignąć.

Pot gęsty, strugami obficie ścieka z czoła.

„Zwyciężyć lub zginąć.”

Grzmi gromki okrzyk dookoła.

I zwyciężyli!

Zdobyli znów chwałę nową.

Wielu u stóp ich, wiecznym snem zasnęło.

Zwycięzcy stoją smutni, każdy z pochyloną głową,

Wszak wielu swoich tu także zginęło.

Już noc minęła.

Słońce wstało krwawe, purpurowe całe.

Wejrzało na pole, gdzie wojska bój stoczyły

i zobaczyło porozrzucane kości białe,

wojsk, co o zwycięztwie kiedyś śniły.

Czesław Kędziora Ib

Kiedy ktoś często doznaje przykrości, nawet ze strony tych, których mógłby uważać za najbardziej zażyłych i przyjacielskich, wtedy wkońcu często się zrażając, zniechęcając wszystkich i będzie sądził, że nie ma nigdzie niczego dobrego.

P L A T O N

KĄCIK KRYTYCZNY.

Kol. X. z II c. „Mała omyłka” — artykułu nie możemy wydrukować, ponieważ trąci „trochę oderżnięciem.

Kol. Leszek M. „Złoty sen Kory” — poemat ten kole-dze zupełnie się nie udał — pewno kolega sam nie pisał, tylko...

Kol. B. E. z II a — „Przy ognisku” rzecz słaba i nieu-dolna.

Kol. „I” „Z wystawy higienicznej”. Bardzo ładnie, że kolega zainteresował się wystawą i że ta wywarła na kole-dze silne wrażenie, które kolega pragnął przelać na papier. „Przelanie” jednak to zupełnie koledze się nie udało i „wy-stawa” powędrowała do kosza.

Kol. „FOM.” — „Ostatni raz” koledze się nie udał — może dlatego, że ostatni raz.

Kol. B. E. „Uczennica”. Bardzo ładnie, że kolega in-teresuje się i współczuje nieszczęśliwym koleżankom, że są takie nieudolne — godne pożalowania, ale naprawdę kole-go, nie warto się nimi zajmować bo „małe toto, nędzne toto”. W „Promieniu” szkoda miejsca na umieszczanie cze-goś podobnego.

Kol. St. Maj: Jeśli chodzi o formę, to „Wigilia na kre-sach” jest dobra. Ale niestety, mało prawdopodobne wyda-je się to podpalenie strażnicy dla ratunku przed wilkami. Prosimy może napisać coś innego.

Kol. Zeten Ia: Niestety, kolego musicie jeszcze zwró-cić się po poradę do swego brata z IIIa. Ale nie przejmujcie się.

Kol. Każ. St. „Refleksje świąteczne” zbyt długie. Arty-kuł o cudach pójdzie w numerze styczniowym.

Kol. Cz. Kę: „Za późno” niestety napisane za późno, bo coś podobnego było w nr. 2, a wyszło z pod pióra kol. Szabowskiego.

Redaktor Naczelny

ŻYCIE ORGANIZACYJNE.

Sodalicja Mariańska.

Drugie tegoroczne zebranie Sodalicji Mariańskiej odbyło się 20 listopada 1937 r. o godz. 16.30 w świetlicy gimnazjalnej

Po modliwie odczytano sprawozdanie z ostatniego zebrania, po czym sod. Pałys Feliks odczytał referat pt. „Akcja Katolicka.”

Sod. referent przedstawił nam, jak jest „Akcja Katolicka” zorganizowana i co jest jej celem. Otóż celem „Akcji Katolickiej” jest „Oddać wszystko Chrystusowi, odnowić życie katolickie w jednostce, rodzinie i społeczeństwie”, „Akcja Katolicka,” to apostołstwo świeckich, współpracujące z duchowieństwem, a sięgające i działające na tym terenie, na którym praca kapłana jest niemożliwa lub utrudniona. Do szeregów „Akcji Katolickiej” i organizacji, na zlecenie Ojca św. kierujących pracą apostołską, nie zaliczono Sodalicyj, Bractw religijnych i Żywego Różańca. Te organizacje mają współdziałać z „Akcją Katolicką” przez pracę nad wewnętrznym udoskonaleniem członków, aby przez to wychować ich na apostołów.

Po referacie rozwinęła się żywa dyskusja. Zebranie zamknięto — hymnem i hasłem.

TREŚĆ

1. Życzenie.
 2. Chrystus się nam narodził...
 3. Koledzy!
 4. „Niespodzianka.”
 5. Po „Niespodziance.”
 6. „Expo 1937.”
 7. Wrażenia z podróży po Italii.
 8. Kolenda.
 9. Z teki wzorowych wypracowań.
 10. Krytykomania.
 11. Ruch w mieście.
 12. Tego jeszcze nie było!
 13. Kanalizacyjne kołnie.
 14. Spotkanie.
 15. Kwiat i motyl.
 16. Deklamator.
 17. „Niespodzianka” od „podszewki”.
 18. Bokser a my.
 19. 45 minut.
 20. Do Taliarcha.
 21. Kącik najmłodszych.
 22. Bój.
 23. Kącik krytyczny.
 24. Życie organizacyjne.
-